

## Moje "Himalaje"

A wszystko przez sympatycznych właścicieli willi Akant w Piechowicach - pozdrawiam ich serdecznie.

To od nich się dowiedziałem lat temu 5, że jest taka impreza organizowana cyklicznie jak Przejście. Zafascynowało mnie, że w nocy, że to taki rodzaj wyzwania. Zacząłem szukać czegoś podobnego na podkarpaciu - mieszkam w okolicy Stalowej Woli. Znalazłem w świętokrzyskim - Twardziel Świętokrzyski. Zanim poszedłem na moją pierwszą Połówkę 2018 - zmierzyłem się z różnymi "maratonami" pieszymi. W 2019 roku była ponownie Połówka. W styczniu 2020 Długi (48) zadzwonił - jak Twój pesel? Odparłem - jeszcze się trzyma (47). I rzucił wyzwanie - GSB w maju, a jak dobrze nam pójdzie to szarpniemy się na całe Przejście.

Koronawirus nam pomógł - wiem jak to brzmi. W normalnym czasie dostać urlop jest ciężko, tym razem z racji ograniczeń w gospodarce łatwo było wyrwać się na dwa tygodnie z pracy. W ten oto sposób po 14 dniach przeszliśmy nasze GSB z Wołosatego do Ustronia - mając tylko 4 dni słońca. Było straszne zadowolenie i pewność, że damy radę w Sudetach. Zaczęło się odliczanie do Przejścia - w końcu - jest, nie odwołali.

Znów było łatwo dostać wolne :) - już w czwartek odebraliśmy nasze pakiety. W piątek szukanie parkingu, znaleźliśmy taki, gdzie można będzie zapłacić kartą, papierkiem - nie tylko bilonem.

Start.

Lekka trema. Plecak miał być lżejszy, ale nie ma z czego już zrezygnować. Wiemy z GSB jak bardzo potrzebne będzie nam jedzenie, a z poprzednich Połówek, jak zimno jest na Jakuszyckiej w nocy.

Pierwsze kilometry idę na luzie, swoi tempem. Ostatnie tygodnie w pracy były stresujące, nie było kiedy potrenować, dzień wcześniej 8 godzin w samochodzie - musi się wszystko rozchodzić. Większość wyrwała do przodu, Długi zostaje w tyle. Zaniepokoił mnie - ciągnie się powoli, ledwo dyszy pod Szrenicą, a za nim tam dotarł, kilka postojów zaliczył. No nie poznają gościa z GSB.

Wychodzimy na grzbiet - Długi aklimatyzuje się i ruszamy naszym tempem. Jeszcze raz po raz mi przypomina - wolniej, ale tempo nie jest złe. Pogoda nam sprzyja. Słonecznie ale nie jest gorąco. Mijamy kolejne odcinki - robią na nas wrażenie widoki ze Śnieżnych Kotłów, z Przełęczy. Muszę tu przytargać rodzinę - stwierdzam, że przynajmniej raz w życiu powinno się przejść całym tym pasmem do Śnieżki - tak tu pięknie.

Obiad w Domu Śląskim - pyszna ryba i znów w drogę. O 18 jesteśmy na Śnieżce. Marzyło mi się, żeby o zachodzie tu usiąść i podziwiać te piękne widoki. Specjalnie na tą okazję targałem buteleczkę wiśniówki - wyrób gorzelnika z pod Lublina. Po spożyciu ruszyliśmy w dół. Okraj mineliśmy już po ciemku - limit czasowy jeszcze z dużym zapasem. Liczyliśmy, że na chwilę usiądziemy i się zagrzejemy ale niestety nie ma szans. Szybki przegląd sytuacji w butach, poprawienie wiązania, zakładamy kurtki i wio. Długi znów zaczyna - wolniej i daleko jeszcze? A mnie niesie. No tak mi się lekko idzie. Miałem lekki niepokój co do butów, które wzięłem. Buty z GSB oddałem do reklamacji i kazali mi kupić sobie następne, owszem kupiłem, ale czy te 80 km jakie w nich przeszedłem zanim ruszyłem na Przejście było wystarczające, żeby się ułożyły - nie byłem pewien. Po 40 km jest dobrze - jeszcze trochę skóra skrzypi, ale to tylko Długiego irytuje - przynajmniej po ciemku słyszy, że idę.

Janowice - zimno jak ch....., zupa pyszna. Próbujemy na ławeczce trochę przysnąć - nic z tego, wszystko zastyga, trzeba iść.

Różanka połknięta - ale potem już tak nam się chce spać, że jak teraz o tym piszę i próbuje sobie przypomnieć coś charakterystycznego z tego odcinka - to jak dziura w pamięci. W pewnym momencie widzę jak Długi zbiera pobocze, odbija do środka drogi, i znów. Idzie trochę prosto, żeby za chwilę znów zjechać w lewo. Pytam się - co jest ?

K... , chyba spałem idąc.

Rozglądamy się za jakimś zacisznym miejscem, żeby głębnąć, wieje teraz mocniej.

W końcu już tak się chwieją głowy, że odbijamy pod rozłożystego dęba, trochę zeszcłłej trawy pod plecy i spać. Budzi mnie ziąb, nie wiemy czy to było 15 minut czy półgodziny. Ale dłużej się nie da wytrzymać - zaczyna już świtać.

W końcu PK5, powoli robi się cieplej i chęć do życia rośnie.

Ostatnie kilometry do połówki strasznie się ciągną. Jesteśmy zadowoleni, że na razie bez strat tu dotarliśmy i nie zadowoleni, że tak późno. Obaj się obawialiśmy już na starcie, tego jak przetrwamy dwie noce bez spania. Zakładaliśmy, że będziemy mieć lepszy czas do uzyskania połówki, żeby przed północą dojść do mety. Teraz wiemy gdzie jesteśmy na osi czasu. Odpoczynek, serwis stóp, szybki posiłek i wychodzimy na drugą część.

Ten odcinek znamy dobrze. Sprawnie osiągamy Górę Szybowcową podziwiając przy okazji skoki spadochronowe. Na podejściu zaczynają nas wyprzedzać "zielone ludziki". W końcu, już się nie mogliśmy doczekać :)

Poprzednimi razy, to ja zastanawiałem się jak wyprzedzałem czerwonych jak to jest, mieć już tyle za sobą, i jeszcze tyle kilometrów do końca. Jakie ma człowiek myśli wtedy. Teraz już wiem - podzieliłem w głowie tą część na etapy i skupiam się tylko na kolejnym punkcie trasy. Najbardziej oczekuję Perły Zachodu. Raz, że za każdym razem zachwyca mnie pięknym moment kiedy wspinamy się na skałki, żeby za chwilę zobaczyć ciemnozieloną wodę przeciętą mostkiem i schodami, dwa, że ten najgorszy kawałek asfaltowy, będzie już za mną.

Goduszyn- Pani z obsługi PK, pomija "zielonych", czekających na herbatę, wyciąga do mnie dłoń, żebym podał jej swój kubek. Nalewając mi herbaty, tłumaczy "zielonym", że zwyczajowo "czerwoni" mają pierwszeństwo i nam herbatę nalewają - poczułem się doceniony, że tutaj dotarłem :).

Nie znoszę tego odcinka po wyjściu z Goduszyna- za każdym razem się tu gubię w tym lesie i zawsze ktoś z czerwonych był, za kim mogłem iść. Tym razem to ja jestem czerwony, a te kilkanaście osób - patrzy na mnie i pyta gdzie iść ? Ja p..... nie wiem. Odpalam telefon, i nic z tego - nie wiem co jest grane, mapa turystyczna nagle mi mówi, że nie ma dostępu do GPS. Idę wg kompasu, na zachód. Uff, coś nie dobrego dzieje się z moim brzuchem. A cała ta grupka "dzieci" idzie za mną - obaj mamy córki w ich wieku, dlatego pozwalam sobie na takie sformułowanie. Jak im powiedzieć, że muszę iść w krzaki? Nie wiem co to będzie.

Przyśpieszam. Stwierdzam, że wyprowadzę ich do najbliższej drogi - trudno nie pójdziemy wg mapki tylko asfaltem do Wojcieszyc. W końcu widzę drogę 3. Dogonili mnie. Tu udzielam wskazówek jak mają iść. W końcu dopadł mnie i Długi. Pyta się - co to było? Pędziłeś jak głupi, a to stado za Tobą. Wyciągam wymownym gestem rolkę z plecaka i pędzę w krzaki. We dwóch dochodzimy do PK10, po drodze mijamy się z "drużyną", która już zdążyła zaliczyć PK. Już zmierzcha, więc nie widać bardzo buraka jakiego mam na twarzy.

Nie ma przerwy - idziemy dalej. Pamiętam ten odcinek z poprzednich lat. Fajnie się szło wtedy, a teraz asfalt. Zmęczył nas obrzydliwie. Już nie mogę się doczekać kiedy dojdziemy do Bobrowych Skał. To kolejny punkt, który jest punktem nadziei, że jak już tu dojdę, to dam radę. Po drodze ustaliśmy, że raz w życiu wystarczy, że już nigdy więcej nie szarpniemy się na tą wyrypę. Było zajebiście, sami sobie poprawiliśmy notowania, jak będziemy wymyślać kolejne wyzwania, to już nic tak ekstremalnego.

Górzyniec - przegląd stóp - jest bardzo dobrze. Żadnych pęcherzy, chodź dokuczają nam obu trochę pięty. Mogliśmy lepiej zadbać o stan pięt przed wyjściem, ale czasu nie było na taką kosmetykę. Patrzymy ze współczuciem jak inni lepiają plastry.

Bułka na drogę i idziemy. Tempo na razie trzymamy, "zieloni" zbyt często nas nie wyprzedzają. Przechodząc przez przejazd kolejowy widzimy dwoje oczu patrzących z krzaków na nas. Zwiększamy zasięg światła czołówek - wilk, dzieli nas odległość ok 20 metrów. Zupełnie nas ignoruje, więc i my ignorujemy gościa i idziemy dalej. Zaczyna nas znów sen nachodzić. Co raz trudniej odgonić myśl, że chodź na chwilę, że na minutkę. Mijamy szczęśliwie Zakręt Śmierci.

W końcu nie wytrzymujemy, odbijamy ze szlaku, wybieramy miękkie jagodziniec i bach. 15 minut i już jest lepiej. Długiemu znów się włączyła płyta - daleko jeszcze ?

PK12 - tak już blisko i tak daleko. Widzę na mapie jak blisko jesteśmy, ale po przeliczeniu tych 20 km i wzięciu poprawki na zmniejszone już tempo wychodzi, że na nogach jeszcze będziemy 5-6 godzin. I w dodatku czeka nas twarda droga.

No daleko jeszcze ?

Jakaś wiata, siądźmy , zdrzemnijmy się. Pięć minut - tyle wytrzymaliśmy w tym zimnie, mięśnie stygną, ciężiej wtedy wystartować.

Ale nam się dłużył ten odcinek !!!!

W końcu Jakuszyce. Długi stara się drzemać, ja chodzę, robię przysiady, żeby utrzymać ciepło w mięśniach. Jest kilkoro czerwonych, drzemia, wśród nich kilka dziewczyn, wielki szacun.

Gromadnie startujemy.

Długiemu pada czołówka, w końcu zupełnie wysiadła, zapasowa poświeciła kilkanaście minut i zaczyna zdychać - lekkie zdziwienie. Idziemy obok siebie, oświetlam drogę nam obu. Skupiając się na świeceniu na drogę przegapiliśmy skręt szlaku, Niestety chyba z kilometr poszliśmy za daleko, zawracamy. Ech następnym razem trzeba pomyśleć, żeby mieć takie same złącza do ładowania czołówek.

Dochodzimy do skrętu na tor saneczkowy. Po drodze mijamy "zielonych", którzy trochę już powymiękali. Żartuje do Długiego, że idziemy dalej na tyle dobrym tempem, że ktoś gotów pomyśleć, że jedziemy na koksie.

Nie nawidzę tego odcinka. Pięty mocno oberwały na tym kamienistym torze. Zostawiamy kolejnych maratończyków za sobą. Z utęsknieniem oczekuję żeby usłyszeć szum Kamieńczyka. Już wiem, że tylko pokonam to kamieniste zejście, a potem już bliźutko. Światła. Ulica. Przed wejściem na metę przybijamy piątkę sobie, podajemy numerki i koniec. 42:52 minuty

Nie to jeszcze nie koniec :)

Musimy zejść do miasta. Dotarliśmy do parkingu, odpaliliśmy maszynę niech już zacznie grzać. Długi wraca - nie wyjedziemy - awaria terminalu, nie przyjmuje karty ani pieniędzy w banknotach. A miało być tak pięknie.

Gdzie ja k... o 6 rano bilon znajdę. Długi siada , on nie pójdzie. Padło na mnie, ide na stację paliw. Pan nie wykazuje zrozumienia, ani życzliwości - nie rozmieni. Dopiero zaczynają zmianę , tłumaczy mi.

Wracam, po drodze mijam starsze Panie - mam myśl, idą do kościoła, to może ksiądz będzie miał bilon. Ale przecież nie będę czekał aż zbierze tacę.

W złości piszę SMS do właściciela parkingu, o awarii, o tym, że jesteśmy zablokowani, i o 6 rano w niedzielę nie mamy skąd wziąć 60 zł z monetach.

Długi dzwoni do szwagra do Jeleniej Góry - jest 7 rano w niedzielę. Facet jest wielki, jeździ po stacjach, kupuje pierdoły i zbiera monety - wszędzie ten sam problem. Możemy jechać do Lublina. We wtorek jestem pewien, że za rok pójde znów.



